

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

NA PRZEDZIMIU.

Dawno święty Wawrzyniec,
Pootrzasał orzechy,
W całym polu gościniec —
Nie masz na nim uciechy.
Przeszedł sierpień i wrzesień,
Kłosek, kwiatków już nie ma,
Jednak piękna ta jesień,
Chociaż za nią już zima.
Z wiosną drzewa zielone,
W sadach, gajach po jarach,
Teraz złote czerwone,
Niby w bajce o czarach.
Rankiem przez mgły tumany,
Oko przejrzyć nie może,
Świat tak cudnie przebrany,
O mój Boże, mój Boże!
Po pogórkach wiatr hula,
I swe perły szronowe,
Sypie święta Urszula,
Oj, Urszula a Łukasz,
Choćby rzepki w ogrodzie,
Czasem słonko zabiłyśnie
Tak ciepłuchne, nłudne.
A w powietrzu zawiśnie
Babskie lato precudne.
I tak ślicznie się wdzięczy,
Tak swobodnym drga ruchem!
To się blaskiem łśni tęczy,
To łabedziem znów puchem.
Marneż, marne to lato,

Choć tak ziemi przygrzewa;
Wnet przeminie, a za to
Przyjdzie zima prawdziwa.
Jedzie Szymon wraz z Judą,
Wiatr wnet mroźny powieje,
Ziemia ściśnie się gruda,
Aż człowieka strach bierze,
Za duszyczki czyściowe
Trzeba szeptać pacierze;
Wieczny spokój daj Panie,
Tym, co śpią już w ziemi,
A gdy i nas nie stanie,
Daj odpocząć wraz z nimi
Wszystko na tym tu świecie
Dobre z Bożej jest ręki,
Więc za wszystko Mu przecie,
Przynależą się dzięki.
Za snop każdy zebrany
W krwawym pocie corocznie,
I za zagon zorany,
Co pod śniegiem odpocznie.
Niech tam zima śnieg miecie,
Niech po polu wiatr goni,
Nam nie straszno na świecie,
Bo nas chata osłoni,
Mała licha, lecz własna,
Wiek dodaje jej cześci,
I obszerna, choć ciasna,
Bo w niej szczęście się zmieści.

Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

Switało, gdy pan Kaliński z Jasiem wrócili do chaty, w której chwilowo mieszkali.

Pan Kaliński położył chłopca do łóżka, powtarzając co chwila:

— A to lotry, gdyby nie to, że jestem w obcym kraju, nauczyłbym ich rozumu! Wiedziałbym, gdzie szukać na nich sprawiedliwości.

Gdy Jasio odzyskał siły po przykłej przygodzie i gdy mu się zgolla twarz, którą podrapał o kaktusy, pan Kaliński oznajmił mu, że pojedą do miasta Sewilli. Jasio był niezmiernie z tego projektu zadowolony.

W Sewilli trafili właśnie na dzień targowy, ruch więc panował tu wielki, tłumy ludzi w różnorodnych strojach snuły się po ulicach. Znajdowali się tam wędrowni kramarze, właściciele mułłów i linoskoczki. Na ogromnym placu, przeznaczonym na sprzedaż warzyw, znajdowało się mnóstwo wieśniaków i wieśniaczek zachwalających swój towar. Z szopy, gdzie mieścili się wędrowni aktorzy, słychać było dźwięki muzyki.

Ruch i różnorodność podobały się bardzo Jasiowi. Długo czas blakali się z panem Kalińskim po mieście, wreszcie skręcili w wąską uliczkę, przy której końcu migotała jakby srebrna wstążka.

— To Gwadalkiwir! — rzekł pan Kaliński.

Wkrótce znaleźli się nad brzegiem rzeki. Krążyli po niej małe parowce i statki żaglowe. Stali długo, przypatrując się pięknemu widokowi.

— Chodźmy się posilić — rzekł наконец pan Kaliński. — Ale muszę ci powiedzieć, Jasiu, jaka myśl przyszła mi w tej chwili do głowy.

Chłopczyk z ciekawością spojrział na swego opiekuna.

— Mam ochotę popłynąć Gwadalkiwirem do Kadyksu.

Jasio aż w ręce klasnął z radości. Ach, jak on pragnął być w Kadyksie! Czytał już nawet opis tego słynnego miasta.

— Zobaczysz więc to miasto w rzeczywistości — powiedział z uśmiechem pan Kaliński.

Nazajutrz rano wsiadli na statek parowy, płynący do Kadyksu. Po za Sewillą Gwadalkiwir tworzy dwie odnogi, oblewające dwie wielkie wyspy: Majorkę i Minorę; następnie znów spływa w jedno koryto i szerokim ujściem wpada do oceanu Atlantyckiego.

Żegluga po Gwadalkiwirze należała do bardzo przyjemnych wycieczek; to też podróżnym naszym nie nudziło się wcale i nie narzekali na dość znaczną odległość z Sewilli do Kadyksu.

Wreszcie ukazało się ich oczom starożytne miasto Kadyks, założone jeszcze przez Fenicyan;

następnie stało się ono własnością Rzymian. W wiekach średnich, piękne to miasto kilkakrotnie pustoszone było przez barbarzyńskich Gotów, Wandalów i Maurów. Zbudowane na wysepce, połączonej z lądem stałym wązkim paskiem ziemi i ściśnięte na malej stosunkowo przestrzeni, posiada domy wysokie, a ulice wąskie, co nadaje mu charakter ponury. Na domach, na każdym piętrze, są balkony, gdyż mieszkańcy chcą się cieszyć pięknym widokiem na morze. Kadyks jest miastem głównem prowincyi tegoż nazwiska i stanowi doskonałą twierdzę, jak również posiada wyborny port. Do miasta wchodzi się przez pięć bram ozdobionych rzezbami, wyobrażającymi broń rozmałą. Nad jedną bramą umieszczona jest grupa Herkulesa, walczącego z dwoma lwami. W pośrodku miasta znajduje się wieża, zwana Tariso, z której rozciąga się prześliczny widok na miasto i morze. Place wysadzone są palmami, pod których cieniem stoją liczne ławki.

W Kadyksie jest wiele kościołów.

— Być może, pojedziemy jeździe do Lizbony — rzekł jednego dnia pan Kaliński do swego wychowawcy, a w duchu pomyślał:

— Może choć na krańcu Europy trafie na jakikolwiek ślad ojca Jasia.

Pan Kaliński z Jasiem dopłynęli morzem do Lizbony, miasta stołecznego Portugalii, które od strony morza przedstawia się najpiękniej. Lizbona, zbudowana amfiteatralnie nad rzeką Tajó, o cztery mile od ujścia tej rzeki do morza, zalicza się może do najpiękniejszych miast w Europie.

Jaś był zachwycony widokiem miasta i wspomniał rzekę Tajó, szerokiej w tem miejscu na półtorej mili.

— Jeszcze nigdy nie widziałem takiej wielkiej rzeki — rzekł do pana Kalińskiego.

Po chwili acieszył się bardzo, gdy mu opiekun pokazał fotografię miasta od strony morza, zdjętą na pokładzie statku, za pomocą ręcznego aparatu, który pan Kaliński woził zawsze ze sobą.

Nazajutrz po przyjeździe rozpoczęło się zwiedzanie miasta. Najbardziej podobał się Jasiowi zamek królewski. Oprócz tego zwiedzali zakłady naukowe i artystyczne, fabryki wyrobów złotych i srebrnych, przedziałnie i zakłady tkackie.

— W Lizbonie kwitnie handel przeważnie morski, gdyż rocznie wpływa do tutejszego portu przeszło dwa tysiące okrętów — mówił pan Kaliński do Jasia.

Jest to bardzo starożytne miasto. Najpierw należało do Rzymian, potem w VIII wieku po Chrystusie przeszło pod panowanie Arabów i dopiero w XII-tym stuleciu wróciło pod panowanie królów chrześcijańskich, stając się na pewien czas

najważniejszym punktem handlowym dla całego świata.

Dwa razy Lizbona zniszczona była przez trzęsienie ziemi, raz w roku 1755, a następnie w 1858.

— Cóż to musi być za straszna rzecz trzęsienie ziemi — rzekł Jasio, słuchający z najwyższym zajęciem opowiadaniu opiekuna.

— Istotnie straszna... Najpotężniejsze gmachy rozsypują się wtedy w gruzy, a ziemia rozstępuje się, pochłaniając żywcm swe ofiary. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej przerażającego.

— O, mój Boże! — zawołał Jasio przejęty trwogą — lepiej uciekajmy z tego miasta.

Uśmiechnął się opiekun i uspokoił chłopca, że niepotrzebnie się lęka, bo mogą przejść wieki, a katastrofa się nie powtórzy.

Tydzień już pan Kaliński z Jasiem bawili w Lizbonie, gdy raz, idąc ulicą, usłyszeli wykrzyknik:

— Witam ziomka, witam!

Pan Kaliński, zdziwiony tem powitaniem, obejrzał się szybko i z wielkiem zadowoleniem poznał dobrego swojego znajomego z Warszawy.

Naturalnie, że odtąd wędrówkę po mieście odbywano razem.

Gdy znajomy pana Kalińskiego dowiedział się o nazwisku Jasia, rzekł:

— Nazwisko Drzewiński nie jest mi obce, ale doprawdy nie mogę sobie w obecnej chwili przypomnieć, gdzie go słyszałem.

— Drzewińskich jest wielu — odparł pan Kaliński, dając znak swemu przyjacielowi, aby nie mówił nic więcej.

Gdy Jas udął się na spoczynek, pan Kaliński zapytał z niepokojem swego znajomego:

— Cóż pan słyszał o Drzewińskim? Toć właśnie ojciec tego chłopca tak się nazywa... Biedny człowiek przepadł bez wieści!

— Ach! to może ten sam, o którym mi mówiono w Hawrze.

— Cóż mówiono?

— Ze w drodze do Nowego Jorku po bohatersku uratował załogę okrętu, sam narażając życie.

— Ach, mój Boże! — zawołał pan Kaliński — a dawno to było?

— O! już ze cztery miesiące.

— Od tej pory powinniśmy już mieć od niego wiadomość, bo ja pozostawiłem odpowiednie rozporządzenia w domu; zawsze donoszę, gdzie zatrzymujemy się dłużej. Już straciłem nadzieję odszukania śladów zaginionego. Biedny Jas! —

(Ciąg dalszy nastąpi).



OFIARA.

I.

Sto lat upłynęło od czasu, jak Bośnia stała się tureckim wilajetem.

Od tego czasu była ona przedmiotem spornym, jabłkiem niezgody pomiędzy królestwem węgierskiem, rozcącem do niej prawa na podstawie dyplomów, a państwem ottomańskim, trzymającym ją w rękach swoich.

Panowanie tureckie całym ciężarem swoim przygniotło Bośnię, pozostawiając Bośniakom jedynie wspomnienia i nadzieje.

Gdyby nie ta nadzieja — mówił Miłosz do sąsiadów, którzy się w jego domu zgromadzili, — wyjąłbym je z kołyski, wziął za nóżki i o słup roztrzaskał.

Wyrazy te odnosiły się do nowonarodzonego i świeżo ochrzczonego dzieciątka, tłustego, które w niebogłosy wrzeszczało.

Sąsiedzi kiwali głowami poważnie i smutnie.

— Tak, tak, Miłoszu Widoliczu — odezwał się jeden z nich, — twoja prawda wielka prawda... Nadzieja nas podtrzymuje, ale przy tem jakież to ona psoty nam płata! Oto, ty się cieszysz synem, którego ci Pan Bóg dał, cieszysz się i uciechę swoją w nadzieję ubierasz... A czy ty o tem nie wiesz, że Turcy już tam sobie zakarbowali, że się tobie urodził syn?

— Za-kar-bowali... — echowym sposobem, ponuro i powoli powtórzył Miłosz i surowy wzrok wlepił w niemowię.

Posmutniało zgromadzenie całe, pomimo, że w kufach czerwienilo się wino, a na stole w glinianych misach leżały różne jadła i przysmaki: pieczona jagnięcina, miód w plastrach, ser, śmietana i owoce.

— To czegoż mi się smucimy? — zawołał po chwili gospodarz. — Jedzmy, pijmy i weselmy się... hej!... Ochrzciście mi syna, sąsiedzi, niechaj wam za to będą dzięki!

— Żiwio Jerzy Miłoszewicz! — wykrzyknął jeden z sąsiadów.

— Żiwio! — podchwycili wszyscy, podnosząc kufy do góry.

— Toć to i odemie trochę zależy dać Turkom chłopca wziąć, albo nie dać. — odezwał się Miłosz.

— A któżby dać chciał? — podchwycił ten, który pierwszy powiedzeniem swoim smutek wywołał.

— Jednakże Turcy biorą tak dużo, że z dzieci naszych mają już janczarów tylu, co gwiazd na niebie.

— Luba! — krzyknął Miłosz, — pójdź tu! Na słowa te we drzwiach izby pojawiła się kobieta, postąpiła kroków kilka i ze złożonymi

rękami a spuszczonemi oczyma przed Miłosem stanęła.

— Słuchaj, Luba! — rzekł ten ostatni, — czy ty wiesz, że na tego chłopca, którego nam Bóg na pociechę naszej starości dał, dybią Turcy?

— Och, Boże! — krzyknęła kobieta tonem trwogi.

— Wiedz, że ja wobec tych gości, którzy dom nasz zaszczytli, przyrzekam i przysięgam w mojem i twojem imieniu, Turkom go nie dać...

— O! my go nie damy — dodała Luba.

— Żiwio Miłosz! Żiwio jego niewiasta! — — jednogłośnie krzyknęli biesadnicy, wypróżniając kufle.

— Od czegoż Radowan, a na Radowanie lasy? — prawil gospodarz. — Jeżeli na poloninach w gąszczy szumów ukrywać się mogą jelenie i sarny, to dla czegożby nie miał ukryć się i człowiek?

— Mógłby, gdyby nie spahie (turecka jazda) — wsunął ten, co smutku był przyczyną, co czarne widział stremy i takowe wskazywał.

— Spahie, — odezwalo się głosów kilka. — Bodaż ich Bóg pobil!...

Bodaż ich Bóg pobil — odzywali się to jeden, to drugi.

— Turczyn to myśliwy, spahie to psy, a my, chrześcijański naród jesteśmy zwierzyną — rzekł jeden. — Gdyby nie te psy, myśliwemu łowy nie szłyby tak łatwo.

I znów smutek ogarnął zgromadzonych i zapanovalo wśród nich milczenie: i byłoby cicho, gdyby nie kwilenie dziecka, które matka zakolysać usiłowało.

Luba syna kołysała i ton pieśni podniosła wysoko... wysoko...

II.

Miejscowość, służąca jako punkt wychodni dla opowiadania naszego, była to wieś, położona w rozkiesznej okolicy, nazywała się Wisznica.

Wież rozrzuciła się w kotlinie, pogarbionej w pagórki. Chaty, otoczone wysokimi płotami i pousuwane w głąb sadów, jakby się wstydyły stać na widoku, kryły się poza załomami gruntu. Śród płotów wily się ulice, w różnych idące kierunkach. Tworzyły one istny labirynt, tem bardziej poplątany, że grunt rozpadał się w głęboki jar, na dnie którego płynął ruczaj, wpadający do Wrbsa.

Jar dzielił wieś na dwie połowy: północną i południową.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Wyrazów 14. Początkowe litery czytane z góry do dołu dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

Sylaby: Kra—cy—giel—zy—ka—tra—zo—cy—ga—ja—no—e—na—ja—wiec—me—szew—gna—mo—ski—skół—wil—mła—ry—tja—dwi—du—ar—ka—jec—czer—bu—ca—ni—wa—i—a.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Owoc.
- 2) Rzeka w Galicyi.
- 3) Część świata.
- 4) Miasto z gub. płockiej.
- 5) Miasto w pow. grójeckim.
- 6) Imię męskie.
- 7) Miesiąc.
- 8) Powieściopisarz polski.
- 9) Ptak.
- 10) Samogłoska.
- 11) Miasto w gub. litewskiej.
- 12) Imię żeńskie.
- 13) Instrument.
- 14) Imię żeńskie.

II.

Nadesłał Jan Szulc z Poznania.

Litera w literze

Chowują pasterze.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 41.

- 1) Malina.
- 2) Igła.
- 3) Chata.
- 4) Kawa.
- 5) Iwan.
- 6) Ewa.
- 7) Wielbłąd.
- 8) Indyk.
- 9) Cebula.
- 10) Zając.

Mickiewicz.

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 41 „Aniola Stróża“ nadesłali: Jan Szulc z Poznania, Stefan Grzenia z Swiecia, Wiktor Kujawski z Łęga, Anna Wiecka z Szatarpy i Anna Kaszuba i Anuśka Miotk z Lewinka.

